ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. października, Nr. 42. roku 1844.

ZŁOWROGIE SKRZYPCE.

Sławny muzyk Rudolf Kreutzer poczynał już uczuwać symptomata słabości, która go miała pozbawić życia; byłoto powolne obumiéranie, owładne omdlenie na całém ciele, jakiemu najczęściéj ludzie wielkiego umysłu ulegać zwykli. Nieśmiertelny kompozytor siadywał po całych dniach zatopiony w sobie; jakaś ciężka zaduma powlekła posępnością jego oblicze, usta jego nie wydawały głosu a myśli jego krążyły gdzieś tak daleko za krańcami świata, że się zdawał nie mieć żadnego uczucia na to wszystko, co się wokoło niego działo. Rzekłbyś, że już nie należał do téj ziemi, a jego ucho, czyli raczéj duch jego, słuchał już zdaleka pieśni owych anielskich chorów, do których miał i on wkrótce wzlecieć. Wychudłe jego palce nie tykały już fortepianu, a jego skrzypce leżały nietknięte i zapruszone w zapomnieniu u nóg wielkiego mistrza.

Z każdym dniem powiększała się choroba a śmierć coraz bliżéj groziła. Musiał już był opuścić swój mały ładny domek przy ulicy St. George, aby się udać do Passy, na wolne powietrze pomiędzy zielone drzewa, które tam w świéżym pwiewie wiatru szumiały. Całe też dnie przepędzał tam przy oknie, nie podnosząc nawet głowy, ani nie otwiérając oczu; nie podawał już nawet ręki swojemu własnemu bratu Augustowi, gdy tenże, chociaż sam ciężko chory, przystąpił ze łzami w oczach do niego, aby u nóg chorego uklęknąć i doświadczyć, azali choć jednego słowa, jednego uśmiéchu z niego nie wydobędzie. Smutne te odwidziny przepełniały żywą boleścią serce Augusta Kreutzera, ale chociaż brata zawsze z zakrwawionem sercem opuszczał, przychodził przecież każdego dnia wiernie znowu.

Jednego poranku usłyszał ku swojemu wielkiemu zdziwieniu brzmiące tony skrzypców w pokoju swego brata. Przybliżywszy się do drzwi, postrzegł istotnie, iż to Rudolf na swoim ulubionym instrumencie, jednę z najpiękniejszych swoich kompozycyj odgrywał. Zdawało się jakby wielki artysta znowu swego talentu całą moc i świéżość odzyskał, jaką wtedy posiadał, gdy królowę Maryję Antoinettę swoją mistrzowską grą zachwycał.

August stał z półotwartémi ustami w radośném zadziwieniu i nie śmiał swojém zbliżeniem przerwać téj cudownotwórczej fantazyi. Skrzypek zaś, bez zatrzymania się i unużenia, improwizując z coraz większym zapałem, unosił się w coraz wyższe sfery tonów melodyjnych. Na koniec jednak ocknął się August z swego zachwycenia, które tak go przemożnie owładnęło, i otworzył drzwi do pokoju, aby przerwać tak niebezpieczne wzruszenie swojego brata. Któż opisze jego zdumienie! Rudolf stał zdaleka od swego poręczowego krzesła, w wyprostowanéj postawie, z opromienioną natchnieniem twarzą, i wiódł smyczkiem z taką łatwością, jaką się jeszcze nikt przed nim nie mógł pochlubić, a jego dawno złamana ręka nie była mu już przeszkodą. W takiéj postaci powstał zapewne niegdyś ów Łazarz z grobu i błogosławił Chrystusa, gdy na niego *»Powstań!«* zawołał.

August nie śmiał dowierzać temu cudownemu wyleczeniu; owszem czyniło go ono niespokojnym, chociaż sobie z swojéj trwogi

sprawy zdać nie mógł. Zdawało mu się to być ostatniém, jasném rozbłyśnieniem płomienia przed wieczném zagaśnięciem.

Wtém obejmuje Rudolf silném ramieniem swojego brata i toczy wokoło zdumionym wzrokiem. Piękność zielonéj okolicy, spaniały widok miasta Paryża, który mu się w dali odsłania, wszystko to zdaje się nanowo dlań życie przybiérać. Z niewymownie miłym uśmiechem wymawia nazwisko swojéj żony i swéj bratowéj; pomroka choroby, która oczy jego ćmiła, ustąpiła, a światłu dziennemu znowu się otworzyły źrenice.

August Kreutzer uniesiony radością z tego niespodzianego wyzdrowienia, przypisywał je wzruszeniu, jakie sprawiła muzyka w wielkim artyście. Dla uzupełnienia cudu, podał bratu znowu skrzypce, lecz ten je z przestrachem odtrącił od siebie a jasna wesołość która świéciła w jego rysach, ustąpiła nagle z jego oblicza.

»Jużto siódmy raz — siódmy raz!« szeptał padając w krzesło i zakrywając sobie wychudłą twarz rękoma.

August tą nagłą zmianą przelękniony, sądził że ją zdoła pokonać gdy sam grać pocznie. Ale zaledwie dotknął się strun smyczkiem — już mu Rudolf wyrwał skrzypce.

»Nie graj, bracie!« zawołał. »Nie graj, bo to siódmy już raz! Siódmy raz, mówię.«

A gdy go August usłuchać nie chciał, pochwycił w gniewie skrzypce i wyrzucił je za okno.

»Więc ty nie wiész bracie, jaka smutna wróżba z témi skrzypcami połączona? — Jest to siódmy raz bracie!«

To rzekłszy milczał przez chwilę dla zebrania wszystkiego w pamięci, a potém zaczął słabym głosem tak mówić:

»Jednego razu opuściłem jak wiész moją przybraną ojczyznę Francyję, aby się udać do Niemiec, gdzie się nasz ojciec rodził, i gdziem miał przyjaciela, z którym od długiego czasu zostawałem w korrespondencyi, a którego jednakże nigdy nie widziałem. A przecież pisując do mnie, nazywał on mię zawsze: kochany bracie Rudolfie Kreutzer, a ja jego: kochany bracie Ludwiku van Beethoven. Jakeśmy się poznali i pokochali, jest ci dobrze wiadomo. Pewnego poranku, po całéj na odegraniu jego kompozycyj spędzonéj nocy, napisałem do niego, że go podziwiam i kocham. Tegoż samego dnia, i o téj saméj godzinie, przyszedł był pocztą wiédeńską list, w którym Beethoven mi donosił: »Rudolfie, właśnieco przeczytałem twą Lodoiskę; kocham cię i podziwiam.«

»Pojechałem tedy do Wiédnia, a przez całe trzy tygodnie, które tam przepędziłem, nie opuściłem Beethovena na chwilę. Słuchałem nabożnie, gdy siadał do fortepianu, a gdyśmy się po ulicach wiédeńskich przechadzali, wnikało mi każde jego melancholijnym głosem wyrzeczone słowo do serca.

»Pewnego wieczora błąkając się pomiędzy drzewami Prateru i rozmawiając podług naszego zwyczaju o poezyi i muzyce, usłyszeliśmy nagle dźwięk skrzypców. Smyczek był z taką dzielną gładkością prowadzony, a skrzypce tak uroczémi brzmiały tonami, żeśmy natychmiast pospieszyli ku miejscu, zkąd się ta muzyka słyszéć dawała. Ku wielkiemu naszemu zadziwieniu ujrzeliśmy tam starca w łachmanach, który grał wpośród grona ciekawych i zbiérał za to w kapelusz jałmużnę w darze.

»Beethoven przystąpił do niego, uścisnął mu rękę i wyrzekł z uwielbieniem:

»Nie tu powinieneś dać się słyszéć, tam u dworu dla takich, miejsce popisu! Nie za nędzną jałmużnę ale za hojną nagrodę odtąd grać będziesz, bo niemasz podobnego sobie w swojéj sztuce!«

»Ponieważ ta nagła przemowa tłum zdziwionych widzów wokoło obu zgromadziła, przeto skłoniłem ich, aby do pobliskiéj weszli gospody.

»Jakimże sposobem przywiodła cię nędza do tego, że się taką zadziwiającą sztuką musisz popisywać na ulicy?« — zapytał Beethoven, gdyśmy uwolnieni od natrętnych świadków, usiedli we trzech przy gościnnym stoliku?

»Starzec spojrzał zdziwiony na Beethovena.

»Jakto« — mówił więcéj do siebie samego niźli do nas — »więc to nie było złudzeniem? Więc się nie omyliłem, sądząc,

że mimo obojętność słuchającego gminu, jest coś wzniosłego w prostych dźwiękach tych skrzypców?« —

»Nie, nie omyliłeś się,« — rzekł Beethoven. — »Jesteś wielkim artystą, i niémasz sobie równego. Sam Rudolf Kreutzer, którego widzisz tu przed sobą, musi ci wyższość przyznać.«

»Czynię to wyznanie z żalem lecz szczérze, — odpowiedziałem — co tu Beethoven wyrzekł, wyznałem już sam sobie.

»Beethoven! Kreutzer!« — powtarzał starzec — »o nie róbcie sobie igraszki z biédnego nieszczęśliwego,« — wołał rozrzewniony. — »Jeżeli obaj istotnie tymi wielkimi artystami jesteście, tedy zamiast tych pochwał, powiédzcie raczéj, że jeszcze żaden skrzypek nie grał tak licho. Powiédźcie to, bo już się więcéj tych skrzypców nie dotknę.«

»To mówiąc rzucił skrzypce na ziemię i chciał je nogami zdeptać.

»Musieliśmy je z rąk mu wyrwać.

»Cóż cię do tak gwałtownego kroku zniewala starcze w chwili, gdy cię sława i zaszczyty czekają?«

»Gdybyście panowie wiedzieli gdzie i jakim sposobem znalazłem te skrzypce, i co za nieszczęścia mię spotykały odkiedy je posiadam, a pewniebyście panowie tożsamo uczynili.

»Jednéj nocy błądziłem samotny w lesie, umiérałem już prawie z głodu i nie mogłem się ruszyć z unużenia. Padłem pod jakieś drzewo Wzywałem śmierci na ulgę cierpień moich. Usta moje miotały bluźnierstwa boleści i rozpaczy. Niewiém jednak dokładnie ani com mówił ani com czynił; zdaleka tylko dochodził mię odgłos grzmotów, którym wycie wilków wtórzyło. Omdlałem i byłem bez przytomności, a gdym się znowu obudził, świécił jasny dzień naokoło.

»Podnosząc się powoli z ziemi aby opuścić to miejsce, gdziem tak długo leżał bez przytomności, trąciłem o coś nogą. Schyliłem się i znalazłem te skrzypce. Podniosłem je, bom w nich widział środek ulżenia mojéj nędzy. Mogłem je sprzedać, lub grać na nich, dla nadania większego pozoru memu żebraniu. Ta ostatnia myśl więcéj mi się podobała, gdyż rozumiałem się nieco na muzyce, i w szczęśliwych czasach uczyłem się był grać na skrzypcach. Probowałem więc na nich dawną melodyję, która mi jeszcze w pamięci pozostała. Lecz dźwięki, które smyczek wydobył z instrumentu, wprawiły mię w zadziwienie. Upoiłem się niemi wyraźnie do tego stopnia, iż po smutkach i cierpieniach, nastała nagle nieopisana radość. Zdawało się jakby jaka niebiańska siła prowadziła moję rękę, jakby jakie anielskie głosy wyśpiéwywały mi tę melodyję, którą tylko powtarzać miałem. Tak wybrałem się pełen nadziei w drogę. Skoro tylko uczułem iż mi sił ubywało, zaraz zagrałem sobie na skrzypcach, a wnet przybrałem tyle na siłach, iżem daléj iść zdołał.

»Wyszedłszy już z lasu, znalazłem gościnne wszędzie przyjęcie. Bądźto dla doskonałości instrumentu na którym grałem, bądź dla mojéj muzyki, którą nawykli słyszéć przed drzwiami, — niewiem, lecz wszyscy wieśniacy przed niedawnym jeszcze czasem tak dla mnie nielitościwi, teraz okazywali się gościnnymi, wyznaczali mi miejsce przy stole a nocleg na sianie w stajniach.

»Przez sześć dni bez przerwy trwało to niezwykłe dla mnie szczęście. Niech tylko przechodząc wieczorem przez wieś jaką pokazałem się gdzie pod drzewami i zagrałem na moich skrzypcach, natychmiast sypały się grosze do mego kapelusza, i byłem zawsze, jakem już to mówił, gościnnie przyjęty.

»Dnia siódmego, gdym wziął skrzypce do ręki, opanowała mnie, sam niewiém czemu, jakaś żałość i trwoga. Mimo to jednak były dźwięki instrumentu nad wszelki wyraz miłe i czarujące; tylko że się wkońcu jedna struna urwała. Nie uważałem na ten bardzo powszedni wypadek, i poszedłem usiąć przy stole pewnego bogatego i gościnnego dzierzawcy. Po dobrym obiedzie, przy którym nie jeden kielich wina wychyliliśmy, udałem się jak zazwyczaj, nad wieczorem, do stajni na siano. Co się podczas téj strasznéj nocy stało, tego ja nie wiém. Lecz obudziwszy się byłem od płomieni otoczony! Gdym się chciał rato-

wać i uciekać, zostałem przytrzymany jako spółwinowajca zbójców, którzy przyszedłszy wczoraj wieczór po żebrach do mieszkania mojego gospodarza, jego samego zamordowali a dworek podpalili. Długo jęczałem w więzieniu. Nareszcie po roku uznano moję niewinność i powrócono mi wolnośść.

»Wziąłem się znowu do moich skrzypców. Przez sześć dni wiodło mi się znowu wszystko pomyślnie, a moja gra przynosiła mi hojną nagrodę.

»Wreszcie nadszedł dzień siódmy. Dawne przeczucia, których doznałem wtedy, gdym grał w domu owego dzierzawcy, odezwały się znowu we mnie; znowu bowiem po raz siódmy miałem użyć tych skrzypców, które znalazłem w lesie od piekielnych może duchów nawidzanym. Ledwie tego dnia grać przestałem, gdy nagle z trzody którą gnano przez miasto, wypadł wół zhukany, rzucił się na mnie i stratował mię nogami. Podniesiono mię wpółnieżywego i gdyby nie pewna uboga wdowa i jéj córka, które mię z miłosierdzia do swego domu przyjęły, byłbym niezawodnie umarł z ran moich.

»Gdym już pozdrowiał i miał ten dobroczynny dla mnie dom opuścić, zaczęła córka, młoda dziewczyna płakać, i rzekła: Nie opuszczaj nas, bo cię kocham!

»O nie kochaj mnie — odrzekłem — bo wszystkie moje kroki prześladuje nieszczęście!

»Jeźli tak — odpowiedziała dziewczyna — więc będę podzielać twoje nieszczęście i pomogę ci krzyż pański dźwigać.

»Została moją żoną. Przedsięwziąwszy sobie nie tykać się więcéj nieszczęsnych skrzypców, pracowałem przez dwa lata z taką usilną gorliwością, iż się wreszcie zdawało, jakobym się miał już rozstać z nędzą. Mały handel materyjami na suknie, któremi się żona moja trudniła, polepszał mój stan widocznie. Nic nie zbywało do mego szczęścia. Miało się ono jeszcze owszem powiększyć; pewnego bowiem wieczora oznajmiła mi żona moja, że ma nadzieję być matką.

»Powiła mi córeczkę. Radość nasza przechodziła wszelkie wyobrażenia. Ale ach! wkrótce miała być moja nadzieja na przyszłość zawiedzioną! Żona moja zachorowała; — nie była wstanie pracować; zabrakło środków do utrzymania. Znowu nędza nas nawidziła, i przyszła wreszcie chwila, że wygnany z mego mieszkania, musiałem z słabą żoną i maleńkiém dzieckiem na rękach, wyjść ze wsi o kiju żebrackim.

»Pozostawał mi jeszcze jeden sposób ratunku — moje skrzypce. Uciekłem się na końcu do nich, z tém jednak postanowieniem, nigdy na nich nie grać po raz siódmy. Lecz głód zniewolił mię do tego. Głód! — O gdybyście panowie wiedzieli jak strasznéj odwagi głód dodaje!

»Tegoż samego dnia umarła mi moja córka, umarła spalona żywcem w ogniu, którym się jéj sukienka zajęła! Rozpacz odjęła zmysły mojéj żonie.

»Od téj chwili grałem sześć razy na moich skrzypcach; jutro byłbyto już raz siódmy, Niechaj będą przeklęte te skrzypce! Pozwólcie mi je w kawałki potłuc! aby mię znowu nędza na nich grać nie zmusiła, a tą razą — czuję — byłoby to skutkiem zbrodni.«

»Zdarzenia któreś nam biédny starcze opowiedział« — ozwał się teraz Beethoven, »są bez wątpienia dość dziwne; lecz wierz mi, iż to wszystko było tylko dziełem przypadku. Pogodzę cię znowu z liczbą s i e d m, gdy cię wezwę, abyś we Wtorek dał się na cesarskim dworze w koncercie słyszéć, który ja sam dyrygować będę.«

»Nie uczynię tego za wszystkie skarby w świecie!« zawołał skrzypek. »Nie; przysięgam na moję duszę, iżbym tego nie zrobił, chociażby to nawet mojéj żonie rozum wrócić miało. Lecz ona« — dodał zcicha — »mniéj jest do pożałowania odemnie: niéma poznania swego nieszczęścia.«

»Ha« — rzekł Beethoven z uśmiéchem, — »tedy te uroki których się obawiasz, zwrócę na mnie samego. Daj mi swoje skrzypce; będę grać na nich.«

»Starzec oddał skrzypce ze wstrętem i przysłuchiwał się z trwogą grze Beethovena. Ale wielkiego mistrza nic nie mogło zastraszyć. Improwizował najpiękniejsze waryjacyje, jak gdyby się znał oddawna z témi skrzypcami, a gdy już skończył,

rzekł: »Otóż je masz, weź je; teraz one znowu wolne na sześć dni od uroków. Zamawiam cię na sześć koncertów u dworu cesarskiego, każdy po 25 luidorów. Jutro rano możesz sobie odebrać tę kwotę u podskarbiego jego cesarskiéj mości.«

»Przyszedłszy na drugi dzień rano do Beethovena zdziwiłem się widząc jakąś trwogę w jego obliczu.

»Mój Boże — zawołałem na pół ze śmiéchem, pół seryjo, — miałżebyś, mój drogi przyjacielu doświadczać może nieszczęsnych skutków siódmego razu?

»Beethoven roześmiał się z widocznym przymusem i odrzekł: »Wyznaję, że zabobon tego starca mocne na mnie wrażenie sprawił; dałbym wiele za to, abym się był nietknął tych skrzypców. Zdaje mi się jakgdyby mi jakieś nieszczęście zagrażało. Ale precz z tém dzieciństwem!« — zawołał żywo, — »zostawmy je starym matronom, a zajmijmy się raczéj nadchodzącym koncertem.«

»Jakoż w istocie upływał już dzień szósty, a żadne nieszczęście, żadna dolegliwość go niespotykały. Wszystko owszem przechodziło jego oczekiwanie. Nigdy jeszcze żaden koncert takich pochwał nie zyskał. Starzec — nazywający się Rudnitz — został oklaskami obsypany a po skończeniu ostatniéj — szóstéj — sztuki — prosił go sam cesarz, aby jeszcze raz zagrał.

»Na to wezwanie Rudnitz pobladł i zadrżał; wyjąknął pomieszany kilka słów wymówki; lecz cesarz był już powrócił na swoje miejsce i dał znak aby wszyscy usiedli i słuchali. Tak więc musiał artysta wziąć znowu skrzypce do ręki. Ale zaledwie grać począł, gdy nagle jego blade oblicze nadzwyczaj poczerwieniało. Nieszczęśliwy wydał krzyk przerażający, i padł martwy na ziemię.

»Zemdlał — « zewsząd zawołano.

»Umarł!« wyrzekł wezwany na pomoc lekarz — »został paraliżem tknięty.«

»Ja i Beethoven opuściliśmy salę ze zgrozą.

»Co za smutne zdarzenie! — ozwałem się do Beethovena; — cóż myślisz bracie o tém nieszczęściu?

»Beethoven nic nie odpowiedział.

»Ja wziąłem jego milczenie za skutek naturalnego roztargnienia, a chcąc go po kilku chwilach opamiętać, przemówiłem do niego kilka razy. I teraz jednak zdawało się jakby mię nie rozumiał a nareszcie rzekł do mnie:

»Pocóż tych żartów Rudolfie w podobnéj chwili? Ruszasz ustami udając jakobyś mówił do mnie a nic nie mówisz.«

»Krzyczę z całego gardła — odparłem zadziwiony, starając się mówić głośno ile możności.

»Jeszcze niechcesz zaprzestać!« — zawołał — »w istocie, bracie, ten żart już mię nudzić zaczyna. Skończ raz —«

»W téj saméj chwili stanęliśmy na progu jego mieszkania. Stara służąca Beethovena wyszła nam drzwi otworzyć i oddała swojemu panu list, opisując przy tém osobę, która mu go przyniosła. Ale Beethoven podobnie jak mnie, nierozumiał służącéj. Natenczas pojął co się z nim stało i rzucił się płacząc w moje objęcia.

»Ogłuchłem!« — krzyknął.

»Ty, mój bracie, Beethovenie, ogłuchłeś?

»I w saméj rzeczy była głuchota Beethovena tak ciężka, iż nawet wystrzału z karabinu nie słyszał.«

Tu stawał się głos Rudolfa Kreutzera coraz słabszym; nareszcie zamilkł zupełnie i złożył swoje wychudłe ręce na czole.

»Ponieważ Rudnitz już nieżył, a jego żona pomieszanie zmysłów cierpiała — « zaczął daléj mówić, zatrzymując się prawie przy każdéj zgłosce — »musiał się znaleźć jakiś dziedzic tych skrzypców — a tym dziedzicem zostałem ja. Jednego wieczora wziąłem przez pomyłkę pociemku te złowrogie skrzypce do ręki i złamałem nazajutrz rękę. Dziś, niewiém czemu, zapragnąłem koniecznie zagrać na nich; ach, jakiś tajemniczy głos mi zapowiadał, iż grając na nich, odzyskam jeszcze raz wszystkie moje siły i tę roskosz, jaką artystę wykonywanie jego sztuki napełnia. A zresztą bracie, nie byłto jeszcze siódmy raz! Ale teraz nie trzeba się ich dotykać; bo widzisz bracie....«

Napróżno silił się August słyszeć co brat mówił. Słaby głos chorego wydawał tylko niezrozumiałe słowa. Zapadł w zupełną nieprzytomność; wzrok jego osłupiał, głowa skłoniła się ku piersiom, po krótkim czasie — dowiedziała się Europa o zgonie wielkiego kompozytora!

Lecz cóż się stało z skrzypcami? Nikt tego nie wié. Może to jednak były te same skrzypce, na których grał Paganini, gdy powietrze w Paryżu grasowało.

Wiadomo że Paganini tylko sześć koncertów w Paryżu dać zamierzył; przy śmierci rozkazał, aby skrzypce na których grywał, spalone zostały. Gdy się to działo, stare drzewo rzuconych w płomień skrzypców, rozprysnęło się z takim hukiem, iż się omało przez to w kominie nie zajęło a dom umierającego nie stał się pastwą płomieni!

Okręt z niewolnikami.

Mimo filantropijne usiłowania Anglików o zniesienie handlu niewolnikami, nie ustały dotąd zupełnie cierpienia tych nieszczęśliwych. Ciągle jeszcze przybijają okręty pod różnémi banderami do afrykańskich brzegów wywożą ztamtąd niewolników. Zeszłéj wiosny przejęli Anglicy brazylijski okręt »*Progresso*« mający na pokładzie 189 młodych murzynów, 45 murzynek i 213 murzyńskich dzieci, razem 447 niewolników, którzy wszyscy uwolnieni zostali. Wyjątki z dziennika kapelana okrętowego, pana Hill, towarzyszącego angielskiemu kapitanowi na pokład przejętego okrętu, dadzą najlepsze wyobrażenie o srogiéj nędzy, na jaką ci nieszczęśliwi wystawieni bywają:

»Dziwne ujrzeliśmy widowisko wstępując na schwytany okręt,« mówi tenże kapelan. »Cały pokład był napełniony nagimi murzynami, którzy wkrótce przed naszém przybyciem przeciwko swoim panom zbuntowali się byli, a teraz od wszelkiego nadzoru uwolnieni, jak zgłodniałe wilki, rzucili się na wszystko, co tylko ich chuciom odpowiadało. Jedni jedli garściami mąkę z maniokowego korzenia, drudzy wywijali ogromnemi kawałami wołowego mięsa i wieprzowiny, inni wreszcie unosili z kojców różne gatunki żywego drobiu, który zupełnie surowo pożérali. Niektórzy chylili się nad beczkami z wodą i maczali w niéj uwiązane na długim szpagacie chusty, inni dorwali się tym samym sposobem beczki brazylijskiego rumu. Część naszéj osady, która wraz z kapitanem nadeszła, przepełniła pokład okrętu doreszty. Wśród niewypowiedzianéj wrzawy, jako wyrazu szalonéj radości, słychać było tylko brzęk kajdan, które sobie niewolnicy wzajemnie rozbijać pomagali. Tę operacyję zaczęto, jak się zdaje, na odgłos pierwszego działowego wystrzału, który nasz okręt do ich ciemięzców wymierzył; resztę rozkuli nasi majtkowie. Ich radość i wdzięczność dla nas, przechodziła wszelkie pojęcie; o ile miejsca starczyło, rzucali się nam do nóg, tarzali się przed nami, całowali nam nogi i suknie; a gdy wreszcie bez wszelkiego względu, rozzbrojoną załogę ich okrętu rzucono z pokładu do łodzi, która ją jako pojmaną, do angielskiéj fregaty »Kleopatra,« odwieźć miała, zabrzmiał jednogłośny, długi okrzyk radości.

Z 447 oswobodzonych murzynów radził nasz kapitan przyjąć 100 na pokład »Kleopatry,« lecz wniosek jego nie był przyjętym, ponieważ mniemano, jakoby ospa pomiędzy niewolnikami grasowała. Aby zaś mieć ludzi, którzyby już byli obeznani z sposobem obchodzenia się z murzynami, odesłano z pojmanéj załogi, dwóch Hiszpanów i jednego Portugalczyka na pokład murzyńskiego okrętu »Progresso«; poczém tenże spokojnie w drogę do przylądku dobréj nadziei się puścił.

Dnia 12 kwietnia. Podczas pierwszéj nocnéj straży — mówi nasz kapelan, który się na tymże okręcie znajdował — było morze spokojne. Uwolnieni murzyni spali lub leżeli wyciągnięci na pokładzie. Ich gibkie członki mogą się w dziwny sposób kulić i mieścić na bardzo ciasnéj przestrzeni, tak, iż przy świetle księżyca zdało się raczéj widzieć powikłane kupy ludzkich rąk i nóg, niżeli żyjące postacie ludzkie. Jednakże byli kontenci ze swego losu, i wszystko szło pomyślnie, aż oto nagle, okropna zmiana nastąpiła! O pierwszéj godzinie po północy zaczęło się niebo chmurzyć i silny wiatr się zerwał. Majtkowie otrzymali rozkaz zwinięcia żagli, lecz przeszkodzeni leżącémi na pokładzie kupami niewolników, nie mogli tego z łatwością uskutecznić. Dla tego krzyknął kapitan: aby murzynów do średniego pokładu wysłać, co się téż zaraz stało. Lecz tu, na przestrzeni, mającéj tylko 4 sążni długości, $2\frac{1}{2}$ sążnia szérokości a nie więcéj jak $3\frac{1}{2}$ stopy wysokości, stało się powietrze dla 400 ściśnionych ludzi tak ciężkiém i zaduszném, iż gwałtem na wierzchny pokład powrócić usiłowali. Gdy ich raz odpędzono, uczynili powtórną próbę, po któréj musiano przemocą zaprzéć tylne luki, a przednie drewnianémi kratami obwarować. Ku temu więc jedynemu otworowi, którędy wchodziło powietrze, zaczęli się teraz tłumem cisnąć murzyni, ale przez to samo, pozbawiali się świéżego powietrza, którego tak pożądliwie łaknęli. Wszędy, gdzie tylko jaki otwór znaleźć sądzili, starali się przecisnąć, a niektórym powiodło się istotnie przedrzéć się przez otwory, nie mające więcéj jak 14 calów długości a 6 calów szerokości. Nie jestem w stanie z niczém porównać krzyku, jaki się z ich więzienia dobywał! »*Mannana habra muchos muertos* — jutro ujrzymy wiele trupów« rzekł do mnie zabrany z nami Hiszpan Antonio. —

We czwartek, dnia 14 kwietnia. Wczorajsza przepowiednia Hiszpana spełniła się w sposób przerażający. Znaleziono na niższym pokładzie, gdzie murzyni byli zamknięci, 54 pokaléczonych trupów, które w morze wrzucono. Niektóre były już poprzednią chorobą strawione, inne, świéżo zaduszone i krwią zalane. Antonio opowiadał mi iż wielu murzynów samych się udusiło trzymając się jeszcze po śmierci za gardło, z którego język wisiał. Największa część była nogami potratowana; kilku, którzy jeszcze

oznaki życia wydawali, złożono na pokładzie, gdzie mimo wszelkie staranie przywrócenia ich do życia, niebawem ducha wyzionęli. Resztę uwolniono z więzienia i dano każdemu murzynowi po pół pinty wody. Pili ją z niesłychaną pożądliwością, a niektórzy, dla utrzymania pewniejszéj równowagi, uklękali na ziemię, aby tylko nie stracić ani jednéj kropelki wody, która okropną suchość ich gardła po całonocnym krzyku odświeżała.— Ponieważ wieczorem rzęsisty deszcz padał, przeto większa część murzynów udała się dobrowolnie do średniego pokładu, gdzie dla przeciągu powietrza, luki otworem pozostawiono. Ale gdy majtkowie lękając się przepełnienia wierzchnego pokładu, pozostałych jeszcze murzynów do ich dawnego więzienia zapędzić chcieli, powrócili wszyscy tłumno z hałasem. Musiano ich więc znowu gwałtem odegnać, chciano nawet znowu im luki pozamykać; słowem, cała katastrofa poprzedniéj nocy byłaby się powtórzyła, gdyby nie porucznik okrętowy, który się stanowczo temu sprzeciwił i rzekł: »*No soy capar de matarlos como anoche*, nie jestem w stanie mordować ich jak przeszłéj nocy.« Gdym mu jednak wytłumaczył: iż czego innego po nim żądają, pobiegł natychmiast do niewolników, i kazał tych, którzy się na pokład dobywali, w taki sposób tamże ustawić, aby majtkom przeszkodą nie byli.

Chociaż się scena pierwszéj nocy już nie powtórzyła, przecież przez cały ciąg naszej podróży trwała nadzwyczajna śmiertelność pomiędzy murzynami. Nie było prawie dnia, aby przynajmniej jeden lub kilku z nich nie umarło, bądźto już wskutek wydarzeń piérwszéj nocy, bądź też z powodu ich niewstrzemięźliwości, a najwięcéj dla zgubnego wpływu gorąca i zaduchy w tak ciasnym obrębie, w jakim się tylu ludzi razem mieścić musiało.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 42 i obejmuje: 1) Jeszcze niektóre uwagi nad uprawą buraków cukrowych. 2) Alexandra hrabi Cetnera myśli o założeniu przez akcyje kolei żelaznej w Galicyi. (Dokończenie.) 3) Drzewo na pniu z kory obłupane i tak zostawione dopóki nie uschnie, nabiéra wielkiéj trwałości. 4) Sposób wygubienia kretów. 5) O zgromadzeniu niemieckich gospodarzy w Mnichowie (stolicy Bawaryi). 6) Raporta handlowe od 7 do 14 października r. b. Targ na woły we Lwowie. Z Żołkiewskiego; z Tarnopolskiego; z Stryjskiego i ze Złoczowskiego

Z Warszawy. *Biblioteka warszawska* na miesiąc październik zawiéra następujące artykuły: 1) Z tomu 2go Listów z Krakowa przez Józefa Kremera, list XII. 2) Cokolwiek o początku Polski i Polaków, przez Stanisława Kaczkowskiego. 3) O formie muzycznéj, przez Józefa Sikorskiego. 4) O utrzymaniu i naprawie dróg bitych, przez A. Ł. 5) Poezyje. Farys wieszcz, przez Karola Balińskiego. — Wenecyja, przez Edmunda Chojeckiego. 6) Pamiętniki Seglasa. 7) Przepisy podane przez Quetleta, do czynienia postrzeżeń nad zjawiskami peryjodycznemi przez Jana Baranowskiego. 8) Dostrzeżenia ornitologiczne pod względem przylotu i odlotu ptaków wędrujących, czynione w Postawach r. b. przez Konstantego hr. Tyzenhauza. 6) Rozmaitości; a między témi: Ważna wiadomość o nowoodkrytych ogromnych pokładach soli kamiennéj pod Stebnikiem w Galicyi wschodniéj, przez J. B. Pusza. 10) Kronika literacka. 11) Kronika zagraniczna. 12) Kronika bibliografijna. 10) Dostrzeżenia meteorologiczne.

Przeglądu naukowego nr. 26: Poezyje. Pszonka — aktu 3go scena 1, przez L. Sowińskiego. — Bolesław, urywek, przez tegoż. — Słowo życia, wyjątek z części piérwszéj, rozdziału 2go: życie ludzkie — wiara i wątpliwość — czyn. — William Shakspere par Clémence Robert. (Przegląd.) — Kronika piśmiennicza polska.

Tegoż samego pisma nr. 25: Poezyja. Obrazki, przez Karola Balińskiego. — O znaczeniu mnemoniki w pedagogice, przez Mazura z Płockiego. — Kronika piśmiennicza: X. Hugona Kołłątaja korrespondencyja listowna z Tadeuszem Czackim. — Pieśni litewskie, przekładania Ludwika z Pakiewa i t. d.

Kto jest prawdziwym wynaleźcą wozów parowych? Pod tym napisem zawiéra dziennik »*la Presse*« następującą wiadomość: Anglicy mają obecnie zamiar wystawić pomnik na cześć Jerzego Stephenson jako wynaleźcy wozów parowych. Przypisywanie mu jednak tego ważnego wynalazku nie jest bynajmniéj sprawiedliwe, jak się to z następnego chronologicznego wyliczenia głównych doświadczeń używania pary za środek popychający na kolejach żelaznych i zwykłych drogach, jak najjaśniej okaże. W roku 1759 wynalazł dr. Robinson w Glasgowie wóz parowy i uczynił go przedmiotem swoich teoretycznych postrzeżeń. W roku 1770 zbudował pewien francuzki inżynijer, imieniem Cugnols, lokomotyw, z którym różne doświadczenia przedsiębrał; ta jego maszyna jednak niedała się kierować, uderzyła w biegu o mur i rozbiła się. W roku 1784 sławny Watt wskazał środki za pomocą których możnaby siłę pary do poruszania wozów użyć; ale ta myśl nie została wprzódy uskutecznioną, aż gdy w roku 1803 Anglicy Trewithick i Vivian przywilej na transporty za pomocą pary otrzymali. Ci obadwaj mechanicy zbudowali maszynę, która na drodze Merthyr-Thydwill poruszała pociąg wozów. Podług tejże saméj zasady wystawili w r. 1811 Plinkinson, 1812 W. i L. Chapman, a 1813 Brunton podobne lokomotywy, które wszakże w użyciu wiele jeszcze niedostateczności miały. Daleko przydatniejsze były maszyny, zbudowane r. 1814, podług planu Jerzego Stephensona i i Blacketa, chociaż i te jeszcze okazały się zbyt wielkiemi a zanadto mało dzielnemi, aby mogły odpowiedzieć zupełnie swemu celowi. Dopiéro poprawkom Francuzów Seguin starszego i dra. Pelletan i Anglika Roberta Stephenson winne są lokomotywy swoją teraźniejszą formę, podatność w kierowaniu i swoję siłę. Wspomniony Robert Stephenson, syn Jerzego Stephenson, otrzymał przez Manchester-liverpolskie towarzystwo kolei żelaznéj, nagrodę za najlepszy lokomotyw.

Przeciwieństwa między Europa a Chinami. O. Estève, missyjonarz zgromadzenia jezusowego w Chinach, opowiada: iż przeciwieństwa zachodzące między europejskiémi a chinskiémi obyczajami, zwyczajami i wyobrażeniami, uderzają na pierwszy rzut oka każdego pozdrożnika w państwie niebieskiém. Oto niektóre przytoczone przez niego przykłady: W Europie pisze się z lewéj strony ku prawéj, w Chinach z prawéj ku lewéj; Europejczyk jest dumny ze swoich długich włosów, Chińczyk zaś ze swojéj łysiny, która wszakże musi być ozdobiona małym śledcem. My, w upały lubimy się orzeźwiać chłodnémi napojami i lodami; przeciwnie Chińczyk, czém goręciéj na dworze, tém też on gorętszą pije herbatę. Podczas gdy doktorowie europejscy zalecają chorym dyjetę, lekarze chińscy każą swoim pacyjentom jeść jak najwięcéj.

Europejczyk wyraża swoje uszanowanie odkryciem głowy, Chińczyk odwrotnie, zatrzymaniem kapelusza na głowie. Miejsce honorowe jest u nas po prawéj, u nich po lewéj ręce. O ile w Europie taniec lubiony, o tyle w Chinach wzgardzony, i już tylko do historyi należy. Nasz strój żałobny jest czarny, żałobnym zaś kolorem w Chinach, jest biały kolor; czarny strój bywa tylko w święto używanym. U nas muszą dzieci cicho siedzieć w szkole, w Chinach przeciwnie, muszą się uczyć lekcyi wszyscy razem na głos, a czém bardziéj krzyczą, tém się téż więcéj uczą i bywają tém więcéj chwaleni za swoję pilność. Stan wojskowy jest w Europie poważany, w Chinach zaś bynajmniéj nie ceniony. Europejczyk oddala ile możności myśl o śmierci od siebie, dla Chińczyków sprawia widok trumny niemałą radość; krewni i przyjaciele obdarzają się wzajem trumnami. Trumna bywa w Chinach przedmiotem zbytkowym, który Chińczykowie dopóty sobie i innym pokazują, aż póki się nie stanie konieczną potrzebą w czasie śmierci. W Europie starają się pogrzebywać jak najprędzéj umarłych, w Chinach bywają oni jak tylko długo można przechowywani. Najsurowszémi nawet karami nie może cesarz doprowadzić do tego, aby trupy nieraz po roku nie leżały w mieszkaniach. Stawia się takowe ile możności na widok przechodzących. Zresztą myśli téż i cesarz chiński z równém upodobaniem o śmierci jak i jego poddani; ile razy nowy następca tronu rządy obejmie, każe sobie natychmiast budować grobowiec pod pałacem, — a powiadają nawet, iż gdziekolwiek wychodzi, każe nieść wszędzie trumnę za sobą.

Rodzina cesarzów marokańskich. W sławném dziele pana Gråberg de Hemso, szweckiego jeneralnego konsula, o państwie marokańskiém, znajdują się niektóre przykłady licznego potomstwa, jakie rożni panujący tegoż kraju, po sobie zostawili. Muley Ismael, który przez 55 lat rządził, miał 845 synów a 342 córek! Liczba jego żon wynosiła razem 8000! Poseł Ludwika XIV, Saint-Olon, opowiada iż widział wspomnionego sułtana, 34 lat przed jego śmiercią, otoczonego orszakiem 110 rodzonych synów. Być może iż Mulej Ismael swego cesarskiego przywileju w nieco zbytniéj rozległości używał, lecz i jego następcy odznaczali się równie liczném potomstwem. Tak naprzykład, przedostatni sułtan miał rodzinę z 84 synów i 124 córek. Jeżli który z sułtanów mniema, iż ma zanadto dzieci około siebie, lub jeżli mu się jakimkolwiek innym sposobem naprzykrzą, tedy wysyła je w południowe części swojego państwa, do Tafilet, gdzie w jedynéj prowincyi liczą przeszło 40.000 osob, które wszystkie do wielkiéj rodziny potomków Mahometa należą.

Statystyka Żydów. Podług wyrachowań Bernonillego wynosi ogólna liczba wyznawców wiary Mojżesza 6 millijonów, ktorych prawie połowa na Europę przypada. Z tychże trzech millijonów żyje w Rossyi i w Polsce około 1.700.000; w państwach austryjackich 670.000, w Prusiech blisko 200.000, w innych krajach niemieckich 130.000; we Francyi 70.000, w Belgii 53.000, we Włoszech 41.000, w Wielkiéj Brytanii i Irlandyi 25.000, wreszcie w wolném mieście Krakowie 16.000.

Osobliwszy wypadek. Z Brescia pod dniem 24 sierpnia donoszą: Niezadługo będzie ojciec święty zmuszonym uczynić, co się bardzo rzadko wydarza, to jest, wyrzec nieważność małżeństwa, a to z następnego powodu: W roku 1824 umarł w Brescia, w stanie bezżennym, niejaki pan Della Croce, zostawiwszy majątek wynoszący około 700.000 lirów, i testament, mocą którego rozporządza, aby przez 20 lat zbiérano procenta z tego majątku, a potém cały kapitał użyto podług załączonego przy testamencie zapieczętowanego kodycylu. Po upłynieniu przepisanych 20 lat, otworzyli exekutorowie testamentu pomieniony kodycyl i znaleźli w nim następujące punkta: Zakładom dobroczynnym w Brescia i w Medyjolanie zapisuję sumę 200.000 lirów; naturalnéj córce, spłodzonéj r. 1820 z panną F. — tyleż; dziedzicem zaś całego majątku wyznacza swego naturalnego syna, którego mu w roku 1818, panna B. urodziła. Zaczęto szukać spadkobierców i znaleziono ich połączonych prawném małżeństwem, które w roku 1841, bez wiedzy o swojém pokrewieństwie zawarli. Na rozkaz władz rządowych musieli się małżonkowie natychmiast rozłączyć, a małżonka wstąpiła do klasztoru. Nie mieli żadnego potomstwa z tego małżeństwa.

Francuzi w Afryce. Podczas gdy pobojowisko nad rzeką Isly — jak pewien naoczny świadek donosi — było jeszcze okryte rannymi i trupami, improwizowano w francuzkim obozie wesoły wodwil, którego treścią była: tocząca się właśnie wojna marokańska. Aktorami byli żołnierze, którzy przed chwilą dobre cięgi Marokanom zadali. Dyjalog miał być nadzwyczaj ożywionym, i nie zbywało, jak słychać, ani na uderzających sytuacyjach ani na teatralnym efekcie. Nawet sławny parasol marokańskiego wodza figurował na scenie. Kilkunastu szaserów i huzarów, osmolonych jeszcze prochowym dymem bitwy, debiutowały jako sułtanki seraju, które się w nader przymilający sposób umizgały do Muleja Abderrhamana. W ciągu tego przedstawienia przyprawiono z zdobytéj kawy i herbaty wonny napój, który w żołnierskich rozdawano naczyniach, a widzowie leżeli rozciągnięci na marokańskich dywanach, paląc marokański tytoń z marokańskich fajek. Improwizowana sztuka miała jak najswietniejsze powodzenie. Pewien stary grenadyjer, który na widok płaczliwéj miny sułtana mało nie pękł ze śmiechu, rzucił w znak uwielbienia swoją fajkę i kapczuk z tytoniem grającemu tę śmieszną rolę aktorowi, a ten uczuł się tym, swojemu talentowi oddanym hołdem, tak pochlebionym, iż schowawszy otrzymany dar do kieszeni, nadobnym ukłonem podziękował swemu wielbicielowi. Nie zapomniano także o bombardowaniu Tangeru i przyjmowano je oklaskami i okrzykami. Po skończoném przedstawieniu, aktorowie i widzowie położyli się spać — aby przy piérwszém uderzeniu bębna zerwać się do nowych trudów, niebezpieczeństw — i do nowych żartów.

Mumija nowego sposobu. W naturalnohistoryczném muzeum w Manchester znajduje między innémi mumijami jedna angielska, t. j. trup niejakéj panny Beswick, która umierając rozporządziła, aby nie była pochowaną, lecz aby pewien doktor, imieniem White, wypchał jéj ciało, ubalsamował i w swoim domu przechował, zaco mu 500 funt. szterl. rocznego dochodu zapisała. Spadkobiercy tegoż doktora darowali to ciało innemu doktorowi, a przez tego dostała się teraz ta angielska mumija pomiędzy swoje egipskie i peruwijańskie towarzyszki.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.